ROZMAITOŚCI.

Dnia 14 sierpnia, Nr 33. roku 1847.

SKAŁA St. ONUFREGO.

CZYLI:

KRONIKA SZLACHECKIEGO DWORKU.

(Dokończenie.)

III

Po skréśleniu wydarzeń wcześniejszej daty, wracamy do opowiadania kroniki. Już na hasło dzwonka na lipie, zaczęła się napełniać jadalna sala; byłato izba obszerna, malowana w girlandy z fruktów, i winogron, ubrana w portrety panów antenatów.

Na suficie figurowała herbowna tarcza starożytnego klejnotu; chorągwie i rusznice, kopije i szable szykowały się dokoła tarczy, u spodu wisiały kotły i trąby, górą wznosiły się chełmy i pióro-pusze. Tarcza wraz z swojémi ornamentami zapełniała niemal całą powałę. Na środku izby stał stół, kilkanaście łokci długi, obrusem nakryty, na nim karafki z wodą, dzbany z piwem, butelki z winem. Już od talérzy podnosiła się para gorąca w powietrze. Kilkanaście osób różnego wieku, postawy i stroju, stało i po cichu rozmawiało z sobą. Bylito ubodzy krewni, oficyjaliści, i służbiści, nie mający wyznaczonego sobie zatrudnienia. Chorąży trzymał ich przy sobie, żywił i odziéwał. Potrzebowali pana, więc się trzymali dworskiej klamki, a dobry pan żywił ich, aż przyszła śmierć na którego, wtenczas sprawiał umarłemu pogrzeb.

Po długim oczekiwaniu posłyszano krok idącego pana, wtenczas nastało milczenie: domownicy uszykowali się we dwa szeregi; nareszcie otworzyły się podwoje, i wstąpił na salę p. chorąży, prowadząc za rękę syna swego Stanisława.

Pan chorąży, lubo nizki wzrostem, postawą i manierą; umiał nadać sobie przyzwoitą powagę. Był staruszkiem nader poważnym, ale i miłym. Sędziwość łagodnie spoczęła na jego obliczu, a chociaż na czole, na które spadał włos jak mléko biały, były głębokie ślady smutku i troski; to przecież niekiedy dokoła siwego wąsa, sfałdowała się twarz do uśmiéchu, a zrzenica błysnęła tak żywo, jak to brylantowe oczko u spinki p. chorążego.

Wstąpiwszy na salę chorąży, kłaniającym się jemu nizko, odkłonił się wzajemnie, obejrzawszy się po tłumie. Jak skoro obaczył Gierchlackiego, chwycił go za rękę, i prowadził do stołu; po odmówionym pacierzu zajął swoje miejsce, obok siebie Gierchlackiego posadził. Powstał szmer, suwanie stołków, rumor zabiérających swoje miejsce stołowników; poczém, milczenie przerwane brzękiem łyżki o talérz, talérza o śklankę. Kiedy już jeden i drugi otarł sobie wąsa, i drugą potrawę obnosić zaczęto, zawiązujący się dyskurs obiadowy przerwał chorąży zabiérając głos:

„Mości panowie! stoi napisano o Katonie rzymskim, iż na pierścieniu swoim nosił takie epigraphe: *Amicus unus, inimicus nullus;* do Katona dodam to jeszcze: że szczęśliwy ten, któremu dostanie się przyjaciel tyle stały i nieodmienny, iż go żadne pokusy, żadne niestatecznéj fortuny burze odmienić nie mogą. Kieruję mowę do ciebie panie Franciszku," dodał obracając się do Gierchlackiego; ściskając go za rękę.

„Przyjacielu (ozwał się chorąży do szafarza) podaj mi kielich, tylko przecie który z tych większych, bo to dzisiaj mamy *Celebre.* Urodziny pana rotmistrza, a mojego najprzedniejszego przyjaciela; mości Drzymalski w ręce asana, piję za zdrowie i pomyślność pana rotmistrza konfederacyi."

Na to zerwał się Gierchlacki, zaczerwieniony jak burak.

„Jaśnie w. panie, taka dystynkcyja! taki honor! jam niegodzien, nie wart; proszę: *humillime* suplikuję." I ułapił kolana chorążego, który do kielicha powstał z krzesła; a wtenczas kiedy spełniał zdrowie, na podwórzu huknął wystrzał z moździerza.

Na czoło Gierchlackiego wystąpiły krople gorącego potu, jął prosić, dziękować, i kłaniać się po kolei każdemu, kielich z ręki do ręki przechodził, a wiwatom wtórowały huczne na dziedzińcu wystrzały.

Odtąd gwar rozmowy towarzyszył obiadowi; od

którego ledwie co powstawali biesiadnicy, chorąży wezwał wszystkich do kościoła, na nieszpory

Byłato albowiem wilija narodzenia matki boskiej. A któż nie wié, że w dawnych onych czasach, święto matki boskiéj, i każde inne zaczynało się od wilii.

Już o nieszporach ustawała praca, i każdy, czy to wiejski robotnik, czy dworski, o przedwieczerzu już wolny od służby, stroił się jak na święto, i szedł do kościoła na nabożeństwo wieczorne. Opuścić nieszpory w dzień wilii było grzéchem równym temu: nie słuchać mszy świętéj w niedzielę. Ruszył tedy pan chorąży do kościoła ścieżką pieszo, za nim długą świtą krewni, respektowi, słudzy, dwór cały. Przy domie pozostał jeden tylko pastuch do bydła i stróż z krzywémi nogami, dla strzeżenia budynków od ogniowego wypadku; nie było tu obawy o jakiego szkodnika w sadzie, albo o złodzieja, bo onych czasów i złodziej nabożniejszym bywał; równo z drugimi święcił niedzielę, że nie było przykładu, ażeby który dla kradzieży nadłamał święta. Dla tego każdy z obecnych w kościele, mógł się modlić do Boga, bez troski o domie.

Chorąży z całą komitywą wolnym idąc krokiem, rozmawiając w materyi pobożnéj, zbliżał się do parafijalnego kościoła, który rzędem starych lip opasany, ponad szczyty drzew wynosił swoję wysoką, śpiczastą wieżę. W kościele był tłum ludu, ale na dwie strony rozdzielony, pozostawił wolne przejście dla dziedzica. Chorąży idąc do swojéj ławki, potrącił niechcący człowieka krzyżem leżącego na podłodze, w samym środku kościoła, ale respektując pokutnika obszedł go ostrożnie, nie przypatrzywszy mu się lepiéj, ale idący za nim ciekawsi, dojrzeli krawędź nosu i rude wąsy leżącego. Zdawało się jednemu jakoby żupan Gierchlackiego poznał na leżącym; zapytany o to Gierchlacki, nie przyznał się do swojéj odzieży.

Po skończoném nabożeństwie, gdy chorąży wstawszy z ławy, przechodził znowu środkiem rozstępującego się gminu, obaczył pokutnika na kolanach klęczącego; ręce miał wzniesione ku niebu, modlił się, nie dając baczenia na tych, co mimo niego przechodzili.

* *
*

Nazajutrz o rannéj godzinie nasz rezydent odbywał znowu swoję po stancyi przechadzkę, dumał znowu i medytował. Niekiedy, gdy się nabrało dużo myśli razem, zaczynał mowę w głos; łajał się, i obrzucał się słowami, jakichby nie zniósł nawet od własnego brata. Nazywał siebie Judaszem, niewdzięcznikiem, a słowa nie chcę, nie zrobię tego, kończyły peryjod prowadzonego z sobą dyskursu; alić zaskrzypiały drzwi, a Żyd aredarz stanął przed Gierchlackim.

„Dobre południe panu rotmistrzowi.”

Rezydent miasto odpowiedzi skoczył z furyją na Żyda, nafukał, nagroził pięścią, nareszcie zabrał prezenta od niego odebrane i rzucił Żydowi pod nogi.

„Hersty, co to jest?” zadziwił się Żyd.

»Ny, co się stało jegomości? Pan chorąży już wié o wszystkiém.”

»O czém?» — zapytał przestraszony Gierchlacki.

»Kto go powiedział, ja nie wiém, ale pan chorąży już wié o tém doskonale, że pan Serafin tu jest, że jegomość ubrał go w własny żupan, i butów mu pożyczył z cholewkami.”

„Święty sakramencie, zgubiłem duszę!” — jęczał zdesperowany szlachcic.

»Ny! co tam ma dusza do pana Serafina, a ja proszę jegomości, nie gniewać się, nie fukać, bo na co tego; a co jegomość raz wziął, to wziąć, bo bez tego pan Serafin pana rotmistrza już nie potrzebuje, już on kwituje z łaski jego.”

„Jakto nie potrzebuje?” wpadł w słowo Gierchlacki — »dla czego nie potrzebuje?»

„Ny, czy nie wierzy jegomość? ale co z tego będzie, gdy pan Serafin się dowié, że jegomość dołki pod nim kopał?”

„Co? ja! kto to powiedział o mnie?”

„Ny, jegomość jeszcze nie wykopał dołku, ale jegomość pogardza prezentem rodzonego szwagra p. chorążego, a jak on się o tém dowié? Ny, co z tego będzie?”

„Hm, hm, (zaczął sumować Gierchlacki) tak dalece tego nie mówię, nie pogardzam faworem pana Serafina” — i zaczął zbiérać rozrzucone po ziemi prezenta.

„Ja przecie dopomogłem jemu jak mogłem, pożyczyłem żupana, dałem bóty! I suplikę napisałem. Pan Serafin powinienby przecie pamiętać o tém? co?”

„Coby nie miał pamiętać?” odrzekł Żyd — » pan Serafin żeby żył i sto lat i dwieście, pana rotmistrza będzie tak kochał, jak teraz kocha: za młodu marnotrawił troszkę, młode piwko burzy, co to ma do tego, ale teraz; to taki dobry pan, dla przyjacielstwa onby w ogień skoczył. Ny, zobaczy to jegomość.”

Gierchlacki nic nie mówił, sumując słuchał mówiącego do niego Żyda; a szatan stojący u jego boku radował się w duchu i chichotał przez zęby:

»Hi, hi, jak się szamocze rybka złapana; rada do cnoty i Boga, — naprzóżno, napróżno, weszłaś w matnię grzéchu — zostaniesz w matni.”

Diabeł mądry, bo stary, podasz mu palec jeden, chwyci ciebie za całą rękę.

Wieść o powrocie Serafina doszła do chorążego, dowiedział się i o tém, że onto był, którego widział w kościele leżącego krzyżem. Ta pokora, ta pobożność ujęła go nie pomału, i lubo nie zapomniał téj obrazy, jaką mu wyrządził w dzień po-

grzebu nieboszki żony, chociaż czuł pogardę, i wstręt ku marnotrawcy; to przecież widząc ten żal za dawne grzechy, tę pobożność jego; zaczynał już inaczéj sądzić o nim; dowiedziawszy się przytém, że Gierchlacki ubrał go i udzielił mu obuwia, nie chciał być zawstydzonym przez uboższego, i postanowił obmyślić Serafinowi jaki sposób do życia; wyforytować go nareszcie na jaką dzierżawkę; byle w stronach dalekich i w okolicy, gdzie go nie znano, o dawnych jego narowach nie słyszano.

»A właśnie miałem prosić pana Franciszka do mojego gabinetu» zagadał chorąży do wchodzącego rezydenta. »Okulary mi się stłukły, proszę, odczytaj mnie to pisanie; dla pana Franciszka nie mam sekretu.»

Gierchlacki rzucił okiem na list, i poznał suplikę, którą sam ułożył, a Serafin ją przepisał i podpisał.

»Gdyby nie pan Franciszek,» mówił daléj chorąży i ścisnął Gierchlackiego za rękę »jak mi Boga trzeba do skonania, ten list razem z pisarzem odprawiłbym z kwitkiem. Pan Franciszek spiesząc *in levamen* uciśnionemu, utorował mu drogę do mojéj łaski; jeżeli co zrobię dla niego, *exemplum amici* do tego mnie poprowadzi; proszę czytać to pismo Serafina do mnie przysłane.»

Gierchlacki był jak na mękach, i rad nie rad, musiał odczytać swoję własną suplikę; była następującéj osnowy:

„Nieśmiałą stopą się zbliżam, drzącą ręką się schylam do stopy Twojéj *illustrissime Domine* i mój Dobrodzieju, bo znam do siebie i wyznaję, żem zgrzeszył, *mea culpa*. Nie żebrzę przebaczenia, któregom *non dignus*, ale o chłostę proszę, na którąm zasłużył. Jako zależałe pole *nullius* bywa *frugis*, przynosi tylko *spinas* i *tribulos*; tak młodość moja odłogiem leżąc, porastała w chwasty marnotrawstwa i grzechu; ale jeżeli żal szczéry, jeżeli pokuta ma jaki *valor* w oczach Twoich, *illustrissime*, jeżeli poprawa i chęć *ambulare* odtąd na drodze bogobojności i cnoty, godna Jego *consideratii*, o wtenczas *Illustrissime!* nie odtrącaj żałującego, nie odpychaj gorącémi łzami zalewającego się; dozwól kolanom upaść do nóg Twoich, J. W. W. Panie, oglądać raz przed śmiercią *lumen oculorum tuorum*. Od dawna *passer solitarius* do obcych tulę się dachów, chléb, który nieswoja podaje ręka, w niesmak mi idzie, a przecież tém się *protestuję* przed Bogiem, że nie o chléb co żywi, nie o próg życzliwy, *vota* moje idą; ale jeżeli *consolatoriam* j. w. panie podasz mnie *manum* i nie powitasz przez *repulsam* tego, co do łaski Twojéj się ucieka; zawołam *resurrexi*, i póki Bóg życia dozwoli, *immortale nomen Benefactora* i wskrzesiciela mojego, konserwować w sercu, a ochotą i rękami służyć mu nie przestanę,

najpokorniejszy służebnik Serafin.»

Odpowiedź, którą pan chorąży dyktował, a Gierchlacki napisał, była taka:

„Mój Mości Serafinie! nie jestem ja on *Galba*, abym garnącego się do mnie, miał rugować; a kiedy widzę szczéry żal za to, co było, i ochotę poprawy życia, nie chcę *jugum aggravere super jugum*, i odepchnięciem Waści, do ciężkości smutku dodać *repulsam* z mojéj strony, boć to i *sanguis* nieboszki mojéj *clamat de terra*, i zaprasza mnie do podania Waści mojéj (czemuż nie mogę rzéc) braterskiéj ręki. Luboć ztrudna przychodzi wymazać z rejestru dawne Waści grzechy, toć *nodus consanguineitatis* upomina się o swoje; pomocnéj nie cofnę ręki; pomyślę o losie, a tymczasem otwiéram progi moje, i na jaki tydzień pod mój dach zapraszam; przybycia czekam, zamykając tém, że *maximam partem* wdzięczności masz waść spłacić nie mnie, ale panu rotmistrzowi, który piérwéj, nimeś zapukał do mego serca, on swoje Waści już otworzył.»

Serafin odebrawszy tak pomyślny *respons*, udał się natychmiaat do domu, wezwany wstąpił do gabinetu, gdzie rzuciwszy się do nóg chorążego, za kolana ułapił. Zrazu chorąży nie chciał wierzyć oczom własnym, do tyla zmienioną i starszą ujrzał twarz szwagra swojego.

Lat kilkanaście nie widział go chorąży; chodziły wieści o Serafinie, mówiono, że przedawszy wioskę, zaciągnął się do wojska, rozgłoszono nawet że umarł, ale wieści te zbiła druga, że żyje gdzieś na Litwie, na chlebie jakiéjś bogatéj wdowy. Nieporządne życie, raz zbytek, potém nędza, tułactwo i poniewiérka, przed wczesną siwizną przypruszyły głowę, postawę ciała przygięły ku ziemi.

Na wezwanie chorążego Serafin opowiedział przygody swojego życia; poczém wymówiwszy sie od wieczerzy, z przyczyny, że się ofiarował suchotami do ś. Franciszka; udał się na paciérze do stancyi, i długo, do późnéj nocy widziano go klęczącego z paciorkami w ręce.

Czwarty już tydzień upływał zd tego czasu. Serafin swoją pokorą, uległością uskarbił sobie coraz więcéj łaskę u chorążego. Niemniéj i pobożnością przykładną podobał się Serafin. Codzień o rannéj godzinie chodził do kościoła, mszy świętéj słuchał, w każdą sobotę krzyżem leżał w kościele, a takową pokutą, postami i jałmużną, którą dawał ubogim, pozyskiwał coraz lepsze o sobie mniemanie, i tak dalece, że chorąży stawiał go za przykład drugim. „Nie darmo to powiedziano» mówił pewnego razu do ks. proboszcza „kto się do Boga nawróci, cnota do niego nawraca, żywe tego zdania *exemplum* stawia nam Serafin. Czyż nie widzimy, że jakby z popiołów *renascit* nowy *fenix*. Nie deptajmy upadłego, bo może on się podźwignie; nie bez tego, żeby i nędza, przez którą prze-

chodził, nie stała się dla niego szkołą poprawy; dosyć, że w człowieku, na którego rzucaliśmy *lapidem* potępienia, widzimy *praeceptora*, który mógłby i nas nieostatnich prowadzić na drogę zbawienia.»

„Nie inaczéj" ozwał się proboszcz— »w tych czasach, gdzie niestety widzimy tyle przykładów odszczepieństwa i herezyi, pobożność pana Serafina za wzór do naśladowania mogłaby posłużyć innym. Nie mówię tu o jego zachowaniu się w kościele przykładném, ku zbudowaniu każdemu, ale nie mogę zamilczéć, iż co *ex larga manu* łaski w. kolatora otrzymał pieniędzy, to wszystkie dnia wczorajszego ofiarował na wymurowanie kapliczki śgo Onufrego; dla którego z szczególném jest nabożeństwem, bo i często chadza na skałę, gdzie stoi statua, i do tego świętego odśpiewuje litaniją.»

Relacyją taką rozrzewniony chorąży z coraz większym afektem sprzyjał Serafinowi, a gdy ten pewnego dnia przybył do chorążego z podzięką doznanéj łaski, i wyraził obawę, że jéj nadużywa przydłużonym swoim pobytem; chorąży odrzekł mu na to: »Dobry człowiek nigdy nie jest nadto; w moim domu zyskałeś szacunek, i serce moje; a że *in factis consistit amor*, to się pokaże; prosze tedy nie szukać innych *penatow*, nie gardzić gościnnością, bo kiedy *merenti datur, jus est non beneficium.*»

W takim składzie były rzeczy, kiedy dnia jednego wielkiego postu rozbiegła się wieść, że p. chorąży rozniemógł się nagle i niebezpiecznie. Przerażenie było wielkie, trwoga powszechna, rozbiegli się posłańce jeden do miasta po lekarza, drugi po księdza; ten zdążył zaledwie, ażeby dać ostatnie *absolutorium* już nieprzytomnemu.

Słońce nie zaszło było, żałobne dzwony wzywały pobożnych do westchnień za duszę dziedzica, a w domu, którego gospodarz z zamkniętą powieką leżał na śmiertelnéj słomie, rozlegał się płacz i głośne żale. Przyprowadzony do martwego ojca Stanisław, rzucił się na jego zwłoki, całował ojcowską rękę, rzewnémi łzami zaléwał się biédny sierota.

Krewni, domownicy i oficyjaliści smutném kołem otoczyli ciało swojego pana, przysionek pełny był wiejskiego ludu, smutek i przerażenie malowało się na każdéj twarzy. Byłoto, jakoby dąb wielki burzą złamany runął na ziemię, a las cały zatrząsł się i zatrwożył tym patryjarchy swojego upadkiem. Ale w tém kole smutnych i płaczących, Serafina nie było.

Na pogrzeb chorążego zjechało się wielu księży i panów.

Zachodziło właśnie słońce, kiedy przy żałobnym jęczeniu dzwonów, smutnym śpiéwie księży i smutniejszym płaczu ludzkim, spuszczała się trumna do grobu.

Po dopełnionym akcie pogrzebowym, i spożyciu żałobnego chleba, zaczęli się rozjeżdżać goście, pozostał pan starosta żydaczowski, który jako krewny chorążego w towarzystwie ks. proboszcza, udał się do gabinetu nieboszczyka, zaczął przeglądać papiéry, liczyć pieniędze, szukał nareszcie testamentu.

Po długim przeglądzie, znalazła się w jednéj z kryjówek szkatułki dyspozycyja nieboszczyka, własną ręką pisana i podpisana. Przywołani zostali domownicy, wójt i sławetni z gromady. Starosta rozwinął testament, a w obecném zgromadzeniu nastąpiła taka cisza, iż słyszałby latającą muchę w powietrzu.

Testament chorążego zaczynał się od wyznania wiary w Boga, i jego świętą sprawiedliwość; było polecenie ułomnéj duszy miłosierdziu bożemu; drugi paragraf obejmował rozporządzenia tyczące się legatów i gracyi; nastąpiło wreszcie mianowanie Stanisława za uniwersalnego sukcessora; w końcu nominacyja opiekuna, któremu administracyja majątku oddaną być miała.

Ciekawość słuchających do najwyższego podniesiona stopnia, zaspokojoną nie została; przy wzmiance o opiekunie było miejsce próżne, imię opiekuna wpisane w niém nie było. Zadziwienie słuchających było wielkie; powstał szmer w zgromadzeniu, jeden drugiego pytał się nawzajem, na kogo padnie wybór tak ważnéj funkcyi? kto majątkiem rządzić, kto sierotą opiekować się będzie? Rozmowa coraz głośniejsza przechodziła już w ogólną wrzawę, kiedy pan starosta, zawoławszy w głos:

»Uciszcie się panowie»— zwrócił uwagę obecnych na to, że do testamentu dodany jest kodicil takiéj osnowy:

»A kiedy z dekretu boskiego przyjdzie i mnie zapłacić dług naturze, bo *mors ultima linea rerum* natenczas chcę — rozporządzam i nominuję w Bogu spoczywającéj małżonki mojéj brata, rodzonego pana Serafina Słupeckiego, podczaszyca, opiekunem Stanisława syna mojego, zarazem czynię go administratorem całego majątku, jaki synowi zostawiam; w tém przekonaniu, że ręka tak świętobliwego człowieka, jakim jest pan podczaszyc, prowadzić będzie Stanisława drogą cnoty i pobożności — a to jest jedyna droga wiodąca do szczęścia.»

Zaledwie co skończył czytanie kodicilu pan starosta, alić w przysionku dał się słyszéć jakiś szmer i wrzawa. Serafin przedarłszy się przez ciżbę wpadł do komnaty. — „J. w. panie starosto!" zawołał: „Oto jestem ja, opiekun, administrator, proszę własnémi oczyma niech przeczytam gdzie to stoi w testamencie o mnie?" Starosta wręczył mu kodicil.

Serafin odczytawszy go zawołał z radości. „Panie starosto, to tedy jest ważny testament?”

„Pisany własną ręką testatora i podpisany, zaczém nie może być żadna kwestyja o to!” odrzekł starosta.

Teraz już Serafin nie umiał poskromić swojéj radości, niespodzianie popchnięty na sam szczyt fortuny, widząc się panem całego majątku nieboszczyka; zapomniał roli którą odgrywał, jedném słowem, zerwał maskę; z pokornego baranka, okazał się naraz tém czém był.

»Hola prysk” krzyknął na całe gardło „jam opiekun! ja pan! ja tu rządzę teraz!”

„Mosanie podczaszycu” przemówił na to starosta »pan chorąży ś. p. mianował waszmości opiekunem Stanisława; pomnij na to waszmość, że pan Bóg patrzyć będzie na twoje sprawy, Bóg sądzić cię będzie” — i daléj szeroką mową zaczął rozwijać cały szereg obowiązków, jaki bierze na siebie, zakończył napomnieniem, ażeby zaufaniu jakie w nim nieboszczyk położył, odpowiedział godnie, majątek siéroty administrował sumiennie, i pamiętał o tém, że od dnia dzisiejszego, zastępuje we wszystkiém ojca małoletniemu, który że jest kaléką, baczniejszego oka i staranniejszéj potrzebuje opieki.

Atoli odebrawszy na to krótką i rubaszną odpowiedź Serafina, obruszony starosta, nazwał go błaznem, kazał zaprzęgnąć do kolasy i odjechał; pozostali krewni i domownicy, wszyscy potrwożeni i smutni. — Wesołym był jeden tylko Serafin, kazał przynieść wina z piwnicy i *in gratiam* swojéj na opiekuna instalacyi, traktował każdego, który mu się nawinął, pił i hukał do późnéj nocy.

W drugim pokoju Stanisław, biédny siérota płakał.

Po długiéj hulance nocnéj, Serafin przeciérając nazajurz zaspane oczy, ujrzał stojącego przed sobą arendarza.

Żyd pokłoniwszy się nizko, zaczął rozmowę o pogodzie, nie zbliżając się do łóżka, na którém Serafin leżał i poziéwał. Po chwili dopiéro wyjrzawszy drzwiami do przyległego alkierza; przekonanany że i w sieni nié ma z dworskich nikogo, Żyd orendarz przysunął krzesło do łoża, na nim usiadł, zażył sobie tabaki, mówić zaczął w te słowa:

»Ny, jegomość jak żył głupio, tak umrze, jegomość jak nie będzie mnie słuchał, to jegomość odjedzie zląd tym wózkiem, którym przyjechał. Ny, a na co było się radować? krzykać, hukać? pana starostę obrażać, z panami zadziérać? Jegomość żeby był miał rozum, toby był płakał, lamentował jak drudzy, a coby to było szkodziło jegomości? Ny, widzi jegomość, co to zrobiła ta pokora? to nabożeństwo, z chudego pachołka jegomość teraz pan całą gębą. — Ny, albo źle teraz jegomości? Ale jeźli jegomość nie będzie statkował, ny, to ja przepowiadam, że panowie jak zaczną radzić, a pisać, a komisyje sprowadzać, to jegomości odsadzą od opiekuństwa, jak kota od mléka, a na co tego?”

»Hola prysk” krzyknął Serafin po dawnemu — »przeciem nie ślepy, tam stało moje imię, jak byk, testament ważny i kwita, dałbym ja temu po tybinkach, coby... ”

»Ny, testament ważny” wpadł w słowo Żyd, »nié ma gadania, ale jak panowie zechcą — to takie tam wyszukają prawo, co i dwa testamenta przeważy. Słuchaj jegomość ja coś rozumnego powiém. Jegomość napisze mnie kwit, jako ja Icyk Herszman zapłacił jegomości z góry arendę, na 10 lat, potém, że ja od jegomości kupił 100 morgów lasu na Baranach, wié jegomość, gdzie ten śty Onufry stoi; potém jegomość delikatném swojém piórkiem zaasygnuje mnie 10 korcy pszenicy, 10 żyta, można i co więcéj, nie szkodzi; potém prosze jegomości wydać dyspozycyję, ażeby Wojtek, Franek, Stach i Błażéj, do Icka arendarza chodzili na pańskie, potém ny, co potém jegomość mi da, to będzie łaska, a ja za to jegomości dam mądrą radę; jegomość każe zaprzęgnąć do kolasy, jegomość się ubierze w kontusz — pałasz przypasze i pojedzie, pana starostę i panów przeprosi. Jegomość może obiecać, że będzie dbał o Stanisławka, jak o własne oko, ny, obiecać to nikomu nie szkodzi; potém jegomość, tych panów respektowych co tu siedzą i jedzą, grzecznie poodprawia, a potém, i na Gierchlackiego znajdzie się sposób; ja jegomości dam *fein* człowieka akuratnego, on będzie gospodarzył, ny, jak on zacznie dokuczać Gierchlackiemu.”

„Ale, hola” przerwał mu Serafin „a z tym pauprem co będzie? co mi radzisz?”

„Ny, Stanisławek wiele nie potrzebuje? to kaléka”

„I słaby jakiś” — wpadł mu Serafin — »to i kłapnie.”

»A na co tego jegomości? żeby i sto lat żył, to jegomość będzie sobie jego opiekunem, a won, czém? ny?”

„Hola prysk, całe życie miałbym go żywić i chować? Jak chłopiec umrze — to przecie odziedziczę po nim majątek, bo ja jego wujaszek.”

»Ny, to prawda, on testamentu nie napisze, on nie umié pisać, on kaleka, a jegomości się przyda dziedzictwo; jegomość ma własnych dzieciów dwoje.”

„Co? co ja słyszę!”

»Alboż to jegomość nie wié? Ny, ta wykrzcianka, jegomościna żona....”

„Co? żona?”

»Jak jegomość weźmie z nią ślub, to będzie żona, ona powiła jegomości dwoje bliźniaków, jakie śliczne, na włos podobne do jegomości, jak tylko wona odbędzie łoże, to się wona sprowadzi do dworu, z kolébkami, czemu nic?”

„Hola prysk! dwoje bliźniąt? ale ochrzczone przecie?” zapytał Serafin.

»Ny, co się jegomość o to pyta, ochrzczone? co za wielka historyja, albo wona nie wychrzcianka?»

»Przecież szabasuje z wami?»

»Ny, wona by szabasowała? na co jéj tego? kiedy ona wychrzcianka.»

Szelest w przyległym pokoju przerwał rozmowę. Żyd przybrawszy znowu korną postawę, pokłonił się nizko i wyszedł.

Napomnienia arendarza nie zostały bez skutku. Upamiętał się Serafin, i odtąd wypełniał wiernie zlecenia przyjaciela Żyda, za jego szedł poradą. Udawał przywiązanie do Stanisława, niekiedy pogłaskał go po czole, rodzenkami traktował, ale sierota wewnętrznym jakimś wstrętem odpychany, uciekał od opiekuna, podarunki jego wyrzucał za okno. Zamyślony, z dniem każdym smutniejszy, rzewnémi płakał łzami, kiedy jeden po drugim dawni domownicy i przyjaciele ojca przychodzili żegnać się z synem ich dobrodzieja. Wkrótce podstarości oddał klucze i poszedł w świat szukać chleba, oddalił się leśniczy, pisarz i inni domownicy; po dawnym gwarze nastała cisza w domu. Już o ucho sieroty nie obijały się te głosy, które od dzieciństwa on słyszał, do których się przyzwyczaił, z którémi się zaprzyjaźnił. Jeden mu pozostał Gierchlacki. Do Gierchlackiego, jak do jedynego przyjaciela przywiązał się sercem całém.

Sierota nazywał Gierchlackiego przyjacielem, całował go po rękach, nie wiedząc o tém, że ten którego on jeszcze kochać mógł, zaprzedał się Żydowi, wprowadził Serafina do domu, i stał się przyczyną smutnego stanu, w jakim znajdował się sierota, stał się powodem przyszłych, jakie Stanisława czekały, niebezpieczeństw i nieszczęść.

Gierchlacki patrząc na te zmiany, jakie od śmierci chorążego nastały w ojcowskim domu, cierpiał niepokój o los swój dalszy, dręczył się wyrzutami sumienia; a bywało, kiedy Stanisław przyjdzie do niego na górę, ażeby się rozerwać, wypłakać się przy nim; Gierchlacki pocieszając sierotę, głaskał go po czole jedną ręką, a drugą ocierał łzy w oczach własnych; przeklinając w myśli ten dzień i godzinę, kiedy przez Żyda dał się pokusić do podstępstwa naprzeciw swemu dobroczyńcy, przeklinał i siebie, widząc się być przyczyną wszystkiego złego, co już nastąpiło — i co jeszcze stać się miało.

„Nie smuć się Stasiu" takiémi słowy pocieszał sierotę. »Bóg nad tobą, Bóg czuwa nad sierotami. Pan Serafin, twój wujaszek ustatkował się znowu, jeździł, przepraszał p. starostę, i sąsiadom się pokłonił; przyrzekł, że się z tobą po ojcowsku obchodzić będzie; i zresztą masz i mnie, ja ciebie nie opuszczę, krzywdy tobie zrobić nie dam.»

Jednego wieczora Gierchlacki odprawiał swoje godzinki. Stanisław już się był układł do spania, na podwórzu dało się słyszeć turkotanie pojazdu.

Zajechała przed ganek kolasa nieboszczyka chorążego, z niéj wysiadła nieznajoma kobiéta, niby z waszecia, niby z żydowska ubrana; za nią weszły do sieni dwie plugawo ubrane służebne, z dwojgą niemowlętami na rękach; tuż za kolasą przywlekła się bryka z pierzynami i kolebkami.

Byłato miłośnica Serafina, obyczajów podejrzanych niewiasta.

Jeszcze była Żydówką, kiedy posądzona o kradzież, skazana została na chłostę. Prowadzona na miejsce kary, strachem przejęta, zawołała, że przyjmie chrzest, aby tylko uwolniono ją od bicia. Wypuszczono ją i ochrzczono.

Zrazu nienawidzona od Żydów, odepchnięta od rodziców, wałęsała się czas długi po świecie, okradłszy nareszcie swojego kochanka, uciekła, a nie mając nigdzie przytułku, ani do życia sposobu, wróciła do swoich; od nich przyjęta, imieniem tylko Chrześcianką była, życiem i obyczajem Żydówka. Wałęsający się po kraju Serafin stanął noclegiem w mieścinie, w karczmie w któréj mieszkali rodzice przechrzcianki. Opowiedziawszy się Żydowi kim jest, (jak to miał w zwyczaju) powiedział że dąży do Dąbrowéj-Woli, do pana chorężego, który mu szwagrem. Żyd karczmarz zadziwiony niepomału, zawołał:

»*Aches mir*, ja mam rodzonego brata, on z ojca z dziada siedzi na arendzie w Dąbrowéj-Woli, on u pana chorążego pieczony i warzony.»

»Hola prysk (krzyknął zwyczajem swoim Serafin) kiedy tak, to wy pomożecie mnie, żebym się dostał do mojego szwagra; daléj nie jadę» dobył kaletkę, wysypał na stół kilka złotówek; kazał dać sobie miodu i chleba.

Przechrzcianka siedząca w przyległym alkierzu, gdy posłyszała głos Serafina, wyszła do niego. Serafin poznał dawną kochankę, z razu zfukał ją, pogroził złodziéjce, wkrótce z nią pogodzony znowu, oddał jéj resztę pieniędzy co miał.

Po zamieszkaniu kilko-tygodniowém w domu karczmarza, Serafin nająwszy furkę, pojechał nocą do Dąbrowéj-Woli, u znanego nam arendarza, siedział ukryty dopóty, aż kabałami Żyda przy pomocy Gierchlackiego przypuszczon do łaski chorążego, przeniósł się na mieszkanie do swojego szwagra. Wprowadzająca się teraz do dworu niewiasta, była ta niegodziwego życia przechrzcianka. I przyszło nakoniec do tego, że do domu, w którym mieszkała cnota i prawość sama, któryto dom staroświecki pobożném życiem swoich mieszkańców, modlitwami, które w nim odmawiano, zdawał się być uświęconym, i na przybytek świętych pańskich godny; dziś do tego domu wstąpiła brudna wszetecznicy noga, prowadząc za sobą te wszystkie grzechy,

którémi obciążała duszę, których pełne było jéj życie — Obszedłszy po całym domie przechrzcianka szczęśliwa sobie i wesoła, swoją radość wydając mową, w któréj akcent żydowski wyraźnie się przebijał; doszła nareszcie do alkierza, do cichego miejsca spoczynku; tu stały jeszcze dwa małżeńskie łoża, spadającym od sufitu pawilonem przysłonięte, zakątek nieczystą nawet myślą nieskażony i cichy, jak było życie małżonków, którzy tu pod błogosławieństwem świętego obrazu, wiszącego na ścianie, przez lat wiele błogiego używali spoczynku.

»Aj jak tu ślicznie« zawołała przechrzcianka «jakie łóżeczka! jakie wygody! Gdzie Serafin? co to? nie wita mnie? Magdo, niech tu parobki wnaszają pierzyny i kolébki, powiédz, że ja tak kazała. — Ja pani Serafinowa, ja tu na tych łóżkach, na tych pościelach będę spać, do samego południa będę spała.«

»Nie będziesz« — ozwał się głos Gierchlackiego, który ujrzawszy oknem zajeżdżającą kolasę, zeszedł na dół, a wypytawszy się o przechrzciance od ludzi, oburzony nad miarę, bieżał za nią i dopadł ją w alkierzu.

»Nie będziesz tu spała, na to ja nie pozwolę« powtórzył, a machnięciem ręki okazał swoje niewzruszone postanowienie.

»Co to jest? czego ode mnie chcesz?« mówiła nastraszona przechrzcianka; »ja tu przyjechała do mojego męża, to jego dwór; no, to i mój dwór, czemu nie? a pan gada nie będziesz spać: patrzcie go, co mi za jeden?«

»Nie będziesz tu spała«— powtórzył Gierchlacki, »ja na to nie pozwolę; wynoś się ztąd, ty plugawa.«

»Gwałtu« zaczęła wrzeszczeć niewiasta »on mnie chce bić, on mnie chce zabić, gwałtu!«

Na te wrzaski zaczęli się zbiegać słudzy, przybiegł nareszcie i zadyszany, mocno napity Serafin.

Przechrzcianka nabrała odwagi, dopiéro zaczęła wołać, pokazując na Gierchlackiego, że ten chciał ją bić kijem, chciał zabić. Na to Serafin nieprzytomny poskoczył do Gierchlackiego, i nie tylko wytuzał, ale w téj chwili związać go i do miasteczka zawieźć rozkazał. Uspokojona przechrzcianka kazała znosić pierzyny i kolebki do alkierza i odtąd w nim mieszkała jako gospodyni, jako pani domu. Ale oko Boże czuwało. Anioł stróż nie opuszczał ścian tego domu, acz zepsuciem zapowietrzonego; póki jedna w nim była czysta dusza, póki dach domu pokrywał jeszcze głowę sieroty.

Alić nie upłynęło 6 miesięcy, już Stanisława w nim nie było; starania i zabiegi jego przyjaciół, celem odebrania Serafinowi opieki nad siérotą, siérotę zgubiły.

Żyd arendarz dowiedziawszy się przez szpiegi o grożącém niebezpieczeństwie, poddał Serafinowi myśl szatańską.

Jednego wieczora Serafin nakłania siérotę do przejażdżki w pole, do żniwa, sadza go na wózku obok siebie. Żyd zacina konie i odjeżdża. Nie zatrzymuje się aż w głębokiéj puszczy; Serafin prowadzi Stanisława na wierzchołek skały śgo Onufrego, stoi już na saméj krawędzi ciemny kaléka, nie widzi niebezpieczeństwa, które grozi jego życiu. I kiedy się pyta, kędy go wiodą? wtenczas już potrącony z tyłu, leci w przepaść; jego krzyk, wołanie o ratunek, rozchodzi się po lesie, niedosłyszane przez nikogo.

Nazajutrz rozchodzi się pogłoska, że w nocy wykradli Stanisława jego przyjaciele. Serafin rozeła posłańców na różne strony, wieść o zgubie rozgłaszają po całéj okolicy, wieść takowa znajduje wiarę u ludzi.

* * *

Od czasu przygód wyżéj opisanych upływał rok piąty. Byłto dzień zaduszny. Przed domkiem pewnéj ubogiéj wdowy w mieście Myślenicach, stała gromada mieszczan; mężczyźni i niewiasty miejskie z cicha gwarząc, zaglądali do okna domu, przez którego szyby przebijał się blask palącéj się świecy; lud się żegnał i wznosił pobożne westchnienia do Boga, bo w tym domu, w izdebce, przez któréj okno widać było palącą się gromnicę; leżał człowiek na śmiertelnéj słomie; człowiek który od dni 14 już konał — a umrzéć nie mógł.

Byłto Gierchlacki; po długiém tułactwie, na ostatnie dnie smutnéj starości, osiadł w Myślenicach.

Bez zasobów, bez przyjaciół, odepchnięty od bogatszych, w domu nędzy szukał litości, znalazł przytulenie.

Nieszczęścia, przez które smutna jego przechodziła starość, nadwątliły zdrowie jego. Po długo trwającej chorobie, nie mającéj lekarza, widział biédny ten starzec zbliżającą się już godzinę ostatnią życia. Opatrzony sakramentami kazał się przenieść na śmiertelną słomę, prosił, ażeby mu zapalono gromnicę, i odmawianą modlitwy za konającego.

Ale śmierć nie przychodziła położyć końca jego życiu, jego cierpieniom. — Już dzień cztérnasty upływał, a Gierchlacki żył jeszcze, żył w strasznych mękach konania.

»Jezusie ukrzyżowany, ulituj się nademną!« jęczał starzec.

»Wyzwól, wyzwól duszę z tego ciała; ach czemuż ja umrzeć nie mogę! to grzéchy moje trzymają mnie do ziemi! Nie umrę, dopóki nie otrzymam przebaczenia na ziemi, dopóki on mnie nie przebaczy!«

W dzień ten smutny, zaduszny, który był dniem cztérnastym męczarń konającego starca; pędząca z trzaskiem kolasa stanęła przed gospodą, na rynku miasta; siedzący w niej pan, zgrabną lisiurką odziany, raźno wyskoczył z kolasy, wstąpił do karczmy i po krótkiéj z gospodnikiem rozmowie, kazał się prowadzić do domu, w którym mieszkała uboga po bednarzu wdowa.

Z oczyma przymkniętemi, leżał Gierchlacki na ziemi, w ręku jego paląca się gromnica. Przybyły pan wstąpił do izby, alić w téj chwili podniosły się powieki starca, umierający przejrzał, poznał pana Stanisława chorążyca. wyciągnął rękę ku niemu i — skonał.

Pan chorążyc Stanisław (bo to on był) ukląkł na ziemi przed ciałem, za duszę Gierchlackiego zmówił anioł pański. — W tejże godzinie ozwały się dzwony myślenickiego kościoła, w dni kilka odbył się pogrzeb Gierchlackiego, a był świetny i bogaty, jakiego w tém mieście dawno nie widziano. Kronika nasza daléj tak opiéwa:

Pan chorążyc strącony ze skały, nie utracił życia; traf zdarzył, iż tegoż wieczora pod skałą śgo Onufrego koczowała gromada Cyganów. Cyganki podniosły leżącego na ziemi chłopczyka, jego twarz krwią się zaléwała; przestrach odebrał mu przytomność i mowę. Cyganki zaniosły rannego do krynicy śgo Onufrego, opłukały wodą skrwawione powieki, omdlałego otrzeźwiły. Przestrach, który w tak gwałtownym sposobie zatrząsł całą naturą młodzianą, skuteczność świętéj wody, a może i cud boży to sprawił, że chorążyc od urodzenia niewidzący, zaczął odzyskiwać powoli zmysł wzroku — w końcu, odzyskał go zupełnie.

Po kilkodniowym wypoczynku, Stanisław prowadzo-

ny przez wójta cygańskiego, dostał się do wsi pana starosty.

Skracająo relacyję, namienię: że chorążyc w rychłym czasie od opieki Serafina wybawion, w osobie swojego protektora nowego i sumiennego znalazł opiekuna.

Winni zostali ujęci, i oddani do grodu; po krótkiej indagacyi odebrali karę, jaką surowe onémi czasy prawodawstwo pisało na morderców. A. G.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład **Piotra Pillera**) wyszedł nr. 32gi i zawiéra: 1) O rolnictwie płodozmiennem. (Dokończenie). 2) Franciszka Abgarowicza: O przygotowywaniu gnoju i gnojowiskach w Hohenhejmie. (Dokończenie). 3) Przepis robienia meinhaimskich czyli hejdelberskich drożdży. 4) Przepis na szampańskie wino. 5) Dochód z nawodnianéj łąki w dalszéj Pomeranii. 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 7) Uwiadomienie potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 17ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Konkurencyja ekonoma. Powieść przez Rodzimira. 2) Listy z Wrocławia. (Dokończenie.)

Nauczycielki we Francyi. Paryż liczy przeszło 20 bezpłatnych szkółek dla dziewcząt, zostających pod nadzorem czterech inspektorek, pod których przewodnictwem dwieście nauczycielek co roku około 15.000 ubogich dziewcząt wychowują. Pomiędzy témi dziećmi zasiadają nieraz kobiéty w podeszłym wieku, które czują, iż do nauki nigdy nie jest zapóźno, i które też tę prawdę pomyślnym skutkiem stwierdzają. Ten sposób uczenia nastręcza niejednę rozrzewniającą scenę, a sam autor niniejszego artykuliku widział w jednéj z »wieczornych szkółek« przedmieścia St. Martin żywy obrazek, któryby mógł był natchnąć malarza. Mała dwunastoletnia dziewczyna siedziała między dwoma kobiétami, z których jedna dawno już z lat młodości wyrosła, a druga siwe już włosy miała; dziewczynka uczyła je obie czytać; i któż więc były te dwie poważne uczennice? oto matka i babka młodziuchnéj nauczycielki. — Paryż ma przeszło 3000 nauczycielek muzyki. W całéj Francyi nié masz tak małéj i ubogiéj mieściny, któraby przynajmniéj jednę lub dwie takie nauczycielki z zapewnieniem odpowiednich korzyści, ze stolicy nie powołała. Kobiéty uczą również po angielsku, po włosku, po francuzku, nawet historyi.

Nowy Mojżesz. Témi dniami — donosi pewne pismo węgierskie — jeden z tutejszych urzędników przechodząc przez most, postrzegł na wodzie białą poduszkę płynącą. Z jego polecenia puściło się kilku ludzi czółnem za poduszką, w któréj maleńkie, żyjące dzieciątko znaleziono. W téj saméj chwili okazała się w pobliżu mostu uboga, blada kobiéta, uchodząca bocznémi ścieżkami. Jéj zmieszanie na twarzy i zapłakane oczy dały się wkrótce istotnego związku rzeczy domyślić. Rozpacz przywiodła ją do wrzucenia dziecięcia w wodę. Pewien zamożny obywatel ulitował się niebożęcia, i wziął je do siebie. Jakiż los przeznaczyła opatrzność temu dziecięciu, które już w piérwszych dniach swego istnienia tak cudownym sposobem od pewnéj ocalało śmierci?

Naiwne uwiadomienie. Dziennik »*New-Jork-Sun*« zawiéra następujący anons: »Karty do grania! Na sprzedaż u Johna J. Mirabean, nr. 100, przy ulicy Nassauskiéj. — Tamże znajdują się znaczone karty wszelkiego rodzaju, wraz z przepisami do pomyślnego onych użycia przy zwykłych grach towarzyskich, jakoto: *Bluff*, *Poker*, *Brag*, *Vingt-un* i t. p., ułożonemi przez pewnego praktyka. Pragnący wyuczyć się tych fortelów, wymagających znacznéj wprawy i biegłości, raczą się zgłosić pod wyżwymienionym adresem.«

Prośba małżonka. Héron, prywatny sekretarz publicznego oskarzyciela Fouquier-Tinville, opowiada następną anegdotę z czasów piérwszéj rewolucyi francuzkiéj: Na kilka dni przed upadkiem Robespierra przyszedł jeden z jego przyjaciół do Hérona przed kratki izby sądowéj, gdzie Fouquier z powodu natłoku interesów jadał i sypiał, i swego sekretarza zawsze też miał przy boku. Ow tedy przyjaciel Robespierra, a kolega szkolny Hérona, przystąpił do sekretarza z uśmiechem, i zacierając sobie ręce z zadowoleniem — »*Bravo*, obywatelu Héronie« — rzekł — »żwawo idzie robota! Skazaliście dziś czterdziestu pięciu! Ileż macie na jutro?« — »Trochę mniej, ale dość przecie.« — »A czyż lista jutrzejsza już zamknięta i podpisana?« — »Nie jeszcze; ale dla czegoż to pytanie? Czy masz jakiego arystokratę do zaskarzenia?« — »Niestety nie; wszakże miałbym prośbę do ciebie, kochany przyjacielu; bo jesteś przecie moim przyjacielem, nie prawdaż? Owoż wyświadcz mi grzeczność, i wciągnij nazwisko żony mojéj na listę.« — »Twojéj żony? Chyba żartujesz.« — »Na honor mówię ci, ze nie żartuję, owszem powtarzam, iżbyś mi wielką zrobił łaskę.« — »Nie pojmuję« — ozwał się Héron zdziwiony — »czyżeśmy przed kilką dniami razem nie obiadowali, i nie zdaliżeście się oboje w najlepszéj z sobą być zgodzie?« — »Tak jest; lecz odtąd zdanie moje o żonie zmieniło się; jestto arystokratka, jako na to dowody wykazać mogę.« — »Oszalałeś obywatelu; żona twoja jest niezrównaną kobiétą, i jestem pewny, iżbyś kroku tego wkrótce żałował.« — »Bądź co bądź, proszę cię o to. Cóż? Nie wyświadczysz-że mi téj grzeczności? Nie każesz mojéj żony gilotynować?« — »Nie, nigdy! Ani słowa więcéj mi o tém nie mów.« — »Otoż licz-że kto teraz na swoich najwierniejszych przyjaciół!« — mruknął niechętnie małżonek, oddalając się z gniewem, jakby Héron że sto dukatów pożyczyć mu nie chciał. Najciekawszą zaś rzeczą przy tém jest, iż małżonek ten z żoną, którą tak uporczywie na gilotynnę wyprawić pragnął, jeszcze ze trzydzieści lat w najszczęśliwszém przeżył małżeństwie, i że ta nigdy się nie dowiedziała, jakie zabiegi mąż jéj dla pozbycia się jéj przed laty czynił.

Sprostowanie:

W numerze 32 Rozmaitości, w 7méj kolumnie, w przedziałce piérwszéj, w tekscie niemieckim na dole, w piérwszym wiérszu; miast: *kein Augenmerk* — czytaj: *sein Augenmerk*.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.